

RÓŻE.

Na skale zamek, a z zamkowéj wieży,
O świcie postać w białéj szacie bieży
Po krętéj ścieżce.— Młoda i nadobna,
Z świéżego lica do róży podobna,—
W kraj płaszcza swego coś ukrywa ona,
Bose jéj nóżki—na głowie korona!
Pod tą koroną (utrzymują wierni)
Ach! była druga ukryta i z cierni...
Która w jéj czoło kolcami się wpiła,
Przez miłość drugiéj i piérwszą znosiła,—
A oczy w Niebo tak silnie wzniesione
Jakby niebieską już miała koronę!

Niewiasta z trzykroć uwieńczoném czo-
[łem
Biegła szczęśliwa z obliczem wesołém,
Jakby nic nad jéj nie ciężyło głową...
A była żoną, matką i królową—
Dość ona o tém pamiętała długo,
Dziś chcę być tylko nieszczęśliwych
[sługą!
Młody małżonek ubóstwia Elżbietę,
Lecz on litości nie ma za zaletę,—
On ją nauczał bardzo ostro wczora
Że nie uchodzi królowéj pokora—
I wymógł na niéj słowo, że ubogim
Służyć niebędzie—aumiał być srogim...
Z razu się czuła bardzo nieszczęśliwa
Tém przyrzeczeniem— lecz cóż się ukrywa
Pod krajem szaty nadobnéj kobiéty?
Chleb?... tak, chléb znowu! bo w sercu Elż-
[biety
(Chociaż pamięta króla swego rady)
Głośniéj wołają Chrystusa przykłady!
Więc idzie z chlebem do zgłodniałéj rzeszy,
Na skręcie drogi kiedy się już cieszy
Pewną wygraną—postrzega, o Boże!
Króla—małżonka... On ją spyta może
Gdzie ona idzie i co ona niesie?...
Ona nie skłamie— lecz on się uniesie!
Zgadła... król groźno co ukrywa pyta,
I śmiałą ręką za płaszcz już jéj chwyta—
Elżbieta milczy... Aniołowie stróże
Zadrżeli... Z płaszcza wypadają... róże!
Cud!... I Elżbieta szczęśliwa, zmieszana,
Chciała z podzięką upaść na kolana,
Lecz się nie zdradzi ..
Po wzruszeniu własném,
Po czole żony niezwyczajnie jasném,
Król poznał w różach posłanników z nieba...
Nie pytał więcéj i nie szukał chleba—
Ona w dolinę, on poszedł ku górze,
Wiedział, że znowu w chléb się zmienią róże!

Gabrjella Puzynina.

GOŁĄBEK.

Zdarzenie prawdziwe.

Opowiadanie A. E. Odyńca.

Mam opowiedzieć zdarzenie prawdziwe, ale na wytłumaczenie którego, sposobem racjonalnym, choćby się cały rozum niedowiarczéj filozofji wysilił, nie zdoła zetrzeć z niego cechy cudowności, jak nie odejmie sercu wierzących téj najsłodszéj niebieskiéj pociechy, że Bóg żywy, wszędzie obecny, widzi wszystko i rządzi wszystkiem i nigdy nie opuści nikogo, kto w Jego Opatrzności wiarę, w Miłosierdziu ufność położy.

W r. 184.... w jedném z powiatowych miasteczek gubernji Mińskiéj, w tamecznym klasztorze XX. Bernardynów, mieszkał samotnie pan O. stary kawaler, członek możnéj i znakomitéj w swoich stronach rodziny; stan bezżeństwa, wiek i doświadczenie życia, obmierziły mu, tak zwany, świat wielki i towarzystwa jego, których niegdyś bywał ozdobą i których właśnie oklaskami ujęty, nie pospolitą siłę umysłu i zasób nabytéj nauki, na zabawę salonów w Warszawie i w Wilnie bez pożytku i bez śladu zmarnował. Czczość i niesmak jaki mu taka przeszłość zostawiła w duszy i w sercu, skwasiły z laty wesoły jego niegdyś i swobodny humor, a dowcip, którym się mianowicie odznaczał, zamieniły w gorzką ironję, czyniącą go postrachem, tych samych próżniaków i próżniaczek, którzy go głośnym śmiechem lub wdzięcznym uśmiechem potakiwania i pochlebstwa, z młodu do grona swojego wciągnęli.

Przez czas jakiś, drażniąca przyjemność przekory, dla któréj nieraz zdradzeni kochankowie szukają radzi obecności niewiernéj, aby z nią albo się kłócić, albo udawaną obojętnością okazać, że bynajmniéj o nie nie dbają, wiązała go jeszcze i wabiła do salonów, gdzie już przestał być miłym i pożądanym gościem; ale wnet przesyt i znużenie stępiły i ten ostatni bodziec. Sprzykrzyło mu się nareszcie być podobnym strachowi na wróble, machającemu na wiatr przyprawnemi rękami, podczas gdy świegotliwa zgraja codzień z nim oswajając się bardziéj, coraz bliżéj i coraz śmieléj, robi swoje i wrzeszczy po swojemu, aż mu w końcu usiądzie na głowie. Nie czekał tego losu pan O. i opuściwszy salony i miasto osiadł we wsi swojéj dziedzicznéj; lecz gdy go i tam wkrótce gospodarstwo, a co większa sąsiedztwo wiejskie, jeszcze bardziéj nudzić zaczęło, zrzekł się na braci ziemskiego swego majątku, zawarowawszy sobie tylko pewną coroczną summę, którą mu dożywotnie płacić byli powinni. Co się tyczy obrania pobytu w klasztorze, wynikło to bynajmniéj nie z dewocji, ale jak sam powiadał, z dwóch przyczyn. Najprzód, że mieszkając za furtą, był uwolniony od wizyt i widoku kobiét, do których mianowicie czuł ansę; a powtóre, że patrząc na zakonników, z biedy tylko, jak myślał, lub z musu za klauzurą zamkniętych a tęskniących myślą do świata, którego nie znali i pragnęli, czuł się od nich szczęśliwszym i wyższym, jako ten, który go poznał i wzgardził. Ze jednak mniemana ta wzgarda nie musiała iść w parze z zapomnieniem i że nie zjednała mu nawet pokoju zobojętnienia, dowodem tego było, że taż sama drażliwość i taż sama gorzka ironja, którą ze światem wojował na świecie, nie opuściły go i w zaciszy klasztornéj, chociaż na zewnętrzne do nich powody sprawiedliwie uskarżać się nie mógł. Ale że mu też równie brakowało przedmiotów do egzercytowania sarkastycznego dowcipu, ostrzył go i doświadczał na niewinnych braciszkach, których codziennie w ogrodzie lub na korytarzach spotykał. Nieszczęśliwe te ofiary nie wiedząc ani co odpowiedzieć, ani pojmując źródła niespodzianéj napaści, unikały tylko, jak mogły, niemiłego i strasznego sąsiada. Atoli obrońcą ich i mścicielem bywał niekiedy ks. kwestarz, bywalec i koncepcista z profesji, którego rubaszna jowialność demontowała nieraz ironiczne baterje dowcipu pana O., jak niekiedy odważny rębacz mitręży uczonego szermierza. To też pan O. w wesołém tylko usposobieniu umysłu, zwykł był odwiedzać nieulękłego swego adwersarza, aby go przy butelce węgrzyna, albo przy wazie jamajskiego ponczu, do szermierki na żarty wyzywać.

Drugą osobą, rozrywającą najczęściéj samotność pana O. był młody miejscowy aptekarz, mający swoją aptekę w tychże murach klasztornych na dole. Był to człowiek zacny i światły, uczeń uniwersytetu wileńskiego między rokiem 1819 a 1823, obok gruntownéj znajomości swego przedmiotu, przejął zarazem sposób myślenia i czucia, odznaczający ówczesną młodzież uniwersytecką, braterskiemi węzłami przyjaźni ściśle między sobą złączoną. Z wysokiém pojęciem poważnych obowiązków człowieka i obywatela, w każdym obranym zawodzie, łączył on ożywioną i nieco nawet może rozmarzoną wyobraźnię młodzieńca, która każdego z nich, choćby nawet wierszy nie pisał, czyniła mniéj więcéj poetą; jeżeli nie we wszystkich stosunkach rzeczywistego życia, to przynajmniéj w stosunkach z płcią piękną. Nie była to owa salonowa i przez pół rycerska zalotność poprzedzającéj epoki z roku 1807 i dalszych, któréj cała ówczesna, tak zwana światowa młodzież hołdowała; ani też owa, na wzór bohaterów Byrona, udawana

harda oziębłość, mająca niby pokrywać wrzącą wewnątrz namiętność, co było przez czas niejaki główną cechą epoki następnéj, nim nakoniec utwory *szalonéj literatury* francuzkiéj, odzierając kobiétę z uroku jéj piękności moralnéj, inny znowu kierunek miłosnym uczuciom nadały. Epoka uczuć, o któréj tu mowa, odznaczała się mianowicie zbyt może idylliczném uidealizowaniem i upoetyzowaniem kobiéty i miłości i temu to niezawodnie młody aptekarz winien był, jak z jednéj strony słodycz domowego szczęścia, tak z drugiéj kielich goryczy finansowych kłopotów; gdy wnet po wyjściu z uniwersytetu, założywszy aptekę, za pożyczone w większéj części pieniądze, pojął za żonę młodą, piękną i wykształconą, ale równie jak on sam ubogą osobę i po kilku latach pożycia, będąc już ojcem trojga nadobnych dziatek, nietylko nie mógł zaspokoić dawnych swych wierzycieli, lecz owszem, na utrzymanie rodziny, massę długów powiększyć musiał. Pan O. umiał oceniać oświecony jego umysł i szlachetny charakter; atoli, wierny swojemu, lubił go mianowicie za to, że miał sposobność w jego towarzystwie dogodzić upodobaniu swemu, które znajdował w podrażnianiu drugich i wylać całą gorycz sarkazmów swych na kobiéty i na sentymentalność, któréj równie jak je nienawidził.

Ale też z drugiéj strony trzeba oddać mu tę sprawiedliwość, iż świadom trudnych okoliczności sąsiada, nieraz mu przychodził z pomocą, nie czekając ażby o nią sam prosił i nie nadużywając nigdy praw wdzięczności, którą w szlachetném sercu, przyjacielska uczynność wzbudzała. Nawzajem też światły aptekarz był użyteczną pomocą panu O. w rozmaitych jego interessach, jakie mu jeszcze na świecie do załatwienia zostały; już to wyręczając go w korespondencji któréj sam pan O. cierpieć nie mógł, już to spełniając ochoczo i trafnie wszystkie dane mu polecenia. Do rzędu tych ostatnich należało i odbieranie z poczty przysyłanych dla pana O. pieniędzy.

Owóż jednego razu przysłano mu tysiąc rubli w złocie i srebrze. Aptekarz odebrał je z poczty; a że właśnie w tym czasie zagrożonym był przez jednego z wierzycieli zlicytowaniem apteki, jeśli mu należności zaraz nie zapłaci, pomimo największego wstrętu jaki czuł do proszenia przyjaciela o wsparcie i wbrew najmocniejszemu postanowieniu oddawna, któremu dotąd był wierny, by go nigdy o nic nie prosić, ujrzał się zmuszonym koniecznością uciec do tego kroku, jako do jedynego i ostatniego środka, ażeby żonę i dzieci od grożącéj im nędzy ocalić. Nie miał on wprawdzie prosić o dar, lecz tylko o pożyczkę i to nie więcéj jak czterystu rubli; ale wiedział, niestety! że nie będzie się mógł z niéj rychło uiścić i nadewszystko obawiał się o to, aby go pan O. nie posądził, iż używa tego pozoru dumy w tym celu, aby i dar rzeczywiście otrzymać i obowiązek wdzięczności pomniejszyć.

Przez dni kilka po odebraniu z poczty rzeczonych pieniędzy, myślami temi miotany, zmienił się znacznie na cerze i na humorze, tak, że to wszyscy domowi i znajomi jego spostrzegli. Cóż dopiéro gdy przyszło do stanowczéj chwili, gdy trzeba było iść prosić i uniżyć się, nie tyle może przed starszym laty przyjacielem i dobroczyńcą, ile przed sobą samym, przed ideałem całego swego życia, którego dotąd nigdy i niczem nie skaził. Czuł on, że będzie musiał mówić wprost i otwarcie, nie kołując zmierzać do celu. Potrzebował więc dłuższéj i samotnéj rozmowy i wybrał na to chwilę wieczorną, w któréj pan O. zwykle bywał sam jeden. Widziano go jak po dwakroć wchodził i schodził ze schodów; jak stał już po de drzwiami i wrócił. Wszedł nakoniec— i z największém swojém zmartwieniem, znalazł gościem księdza kwestarza, który w najlepszym humorze przy ponczu wysilał cały swój dowcip, aby się nie dać pokonać panu O., gdy ten szermując tą bronią, ze wszech stron nacierał na niego. Łatwo pojąć, jak przy wewnętrznym nastroju myśli i uczuć aptekarza, rozmowa tego rodzaju musiała mu być wstrętną i niemiłą. Mimo więc wszystkich wysileń grzeczności i przymusowych uśmiechów, prawdziwe jego usposobienie nie uszło baczności złośliwych i ożywionych interlokutorów, tak, że obaj nakoniec połączonemi siłami zwrócili się przeciwko niemu, ksiądz kwestarz usiłując mu dowieść, że musi mieć nieczyste sumienie, a pan O. przypisując to zgryzotom z przeniewierzenia się żony, lub żonie. Żarty na tle tego tematu zasępiły tém bardziéj humor aptekarza. Wyszedł więc zostawiwszy Bernardyna, z zamiarem przyjścia rano nazajutrz, ażeby swą tajemnicę wyjaśnić.

Gdy serce niespokojne a wyobraźnia wzburzona, sen nie łatwo klei powieki. Doznawał tego aptekarz, i broniąc się od własnych swych myśli, wziął piérwszą lepszą książkę i czytał, a trwało to tak długo, iż gdy już w mieście wszystkie światła pogasły, stróże nocni przez szpary okiennic, jeszcze je w izbie aptekarza widzieli.

Nazajutrz, ledwo dzień świtać zaczął, był on już ubrany i wyszedł,—wyszedł wprost do sąsiada, który zwykle budził się wcześnie. Chłopiec klasztorny widział, jak stał długo na korytarzu, jak gdyby się namyślał czy ma wejść na wschody prowadzące na piętro, gdzie była cela pana O. Wszedł nakoniec i stanął przede drzwiami. Z podziwieniem drzwi znalazł przymknięte, ale przypisał to w myśli kwestarzowi, który musiał wyjść późno po ponczu, kiedy już posługujący panu O. sługa klasztorny przedtem udał się na spoczynek. Pan O. bowiem nigdy nie znosił, żeby miał nocować u niego. Jasno już było w celi, ale cichość świadczyła, że gospodarz jéj jeszcze w drugiéj

izbie spoczywał. Aptekarz lekko na palcach zbliżył się ku drzwiom do niéj wiodącym, i zajrzał przez nie do środka. Lecz któż zdołała opisać przestrach i przerażenie, jakiem go przejęło to co ujrzał? Pan O. leżał nie żywy, Pan O. był zamordowany! Potargana pościel i pozycja ciała w jednéj chwili przekonały go o tém. Czemuż więc nie uwiadomił wnet innych, jakby to każdemu na jego miejscu prosty zdrowy rozum doradził? Czemu dziwna i niczém nieusprawiedliwiona obawa, aby nań podejrzenie nie padło, właśnie toż podejrzenie rzeczywiście na niego ściągnęła? Są rzeczy i uczucia których wytłumaczyć nie można, jak z nich sam człowiek przed sobą sprawy zdać częstokroć nie umie. Dość, że zamiast dać znać w klasztorze o tém co piérwszy zobaczył, zamiast udać się prosto do władzy policyjnéj, wybiegł jak obłąkany z celi zabitego i nie wstępując do domu, biegł wprost ulicą nie wiedząc dokąd i po co?! Nie długi czas upłynął gdy się opamiętał: czas ten jednak wystarczył na to, że kiedy powracał do domu, sam jeszcze nie wiedząc co czynić, już morderstwo było wiadome, już wspomniane wyżéj okoliczności opowiedziane przez świadków i tłum przed klasztorem zebrany powitał aptekarza nieżyczliwém szemraniem, a naczelnik policji oświadczył mu iż jest aresztowanym.

Dla pisarza imaginacyjnych powieści, byłaby to chwila do rozwinięcia zasobów wyobraźni i psychicznéj znajomości człowieka, gdyby chciał i umiał wniknąć w głąb duszy obwinionego i jego nieszczęśliwéj małżonki. On wiedział, ona wierzyła że on jest niewinny. Ale wszystkie pozory były przeciwko niemu; a gdzież świadek coby był za nim?

O! świadka tego nigdy nie zabrakło nikomu, kto weń wierzy i wzywać go umie! On tchnie mądrość w dziecinne usta Daniela by wykazać niewinność Zuzanny; on wskrzesił Piotrowina z mogiły, by potwarców sługi swego zawstydzić; on żywioły i nierozumne zwierzęta uczyni narzędziem swéj woli, aby mający oczy ku widzeniu a uszy ku słyszeniu, ujrzeli i usłyszeli że *Jest*, bez którego wiedzy i woli liść z drzewa, ptaszek z dachu, włosek z głowy ludzkiéj nie spadnie.

Tego świadka wzywała żona aptekarza, uprosiwszy spowiednika swojego, aby na intencję wykrycia niewinności jéj męża odprawił nazajutrz wotywę, któréj ona z trojgiem swych dzieci, krzyżem leżąc słuchała.

Podczas gdy się msza odprawiała w kościele, pauperowie chodzący do szkół na koszcie zakonu, bawili się na dziedzińcu klasztornym, dzień bowiem był świąteczny i lekcji nie było. Wtém!—o dziwy! o radość! na dziedzińcu zjawia się gołąb—gołąb dziki, nie swojski; przyleciał zkąd?! niewiadomo; lecz musi być podstrzelony czy chory, bo chcąc przysiąść na dachu, utrzymać się na nim nie może; bo spadłszy zeń na bruk dziedzińca, nie może snać stanąć na nóżkach i tylko rozciągnąwszy skrzydła, na nich się jakoby opiera. Zdobycz niespodziana i łatwa! malcy rzucili się ku niéj. Ale gołąb wsparł się skrzydłami i znowu wzbił się do góry. Znów chce przysiąść na dachu i spada. Znowu taż sama pogoń i tak samo zawiedziona nadzieja. Gołąb lata z końca w koniec dziedzińca, chłopcy tłumem ścigają za nim. Na dziedzińcu, przy murze leży ogromny stos drzewa, stos kłód do piłowania na opał. Zadyszany gołąb przysiadł, a raczéj upadł na nim, rozciągnąwszy skrzydła jak zawsze; studenci szczeblują ku niemu. Gołąb zerwał się jeszcze, lecz wysoko już wzlecieć nie może; uderzył się o mur i zapadł—zapadł pomiędzy murem a stosem kłód owych.

Między murem więc a stosem jest otwór, widoczniejszy z góry niż z dołu. Student który to z góry towarzyszom swoim zwiastuje, nie śmie sam i nie ma sposobu spuścić się weń za ptakiem; pyta więc stojących na dole czy tam z boku wpełznąć nie można? Oglądają — rzecz trudna! ale kłody jednakże nie zbyt szczelnie przystają do muru; dolne mniéj nawet od wierzchnich. Zręczny, mały a chudy mógłby się z biedą przecisnąć. Cel tak wielki jak złapanie gołębia, nie dziw że odwagi dodaje. Znalazł się mały i chudy, który chce zręczności próbować. Rozebrał się więc do bielizny, starsi sznur mu przywiązali do nogi, aby go nazad w potrzebie wyciągnąć; — przeżegnał się zatém i włazi. Otwór z początku ciasny, lecz się daléj nieco rozszerza. Mimo tego strach go ogarnia; już chce szarpnąć nogą, jak nurek, na znak aby go wyciągano; ale w tém, już blisko przed sobą, słyszy łopot skrzydeł gołębia;— zapomina o wszystkiem i pełznie. Już go widzi, już go dosięga! wtém coś twardego trąca go o czoło, worek z pieniędzmi zwieszony na sznurze! pod nim właśnie siedzi gołąbek. Worka ściągnąć i zabrać nie może; ale gołąbek daje się pojmać spokojnie. Wsadził go więc w zanadrze, dał umówiony znak szarpnięciem nogi, i pełznąc wstecz z pomocą ciągnących za sznur towarzyszy, wyszedł tryumfujący z pozyskaną zdobyczą i opowiedział o worku.

Uwiadomiony o tém przełożony klasztoru, posłał jednego z braci ażeby wierzch stosu obejrzał. Jakoż w piérwszéj najwyższéj kłodzie, znalazł wbity od strony muru gruby ćwiek okręcony sznurem, na którym zwieszony był worek. Wyciągniono go łatwo do góry; przywołany pocztmistrz oświadczył, iż jest ten sam który aptekarz dla pana O. z poczty odebrał. Przystąpiono do liczenia pieniędzy, kilkudziesięciu rubli brakło tylko do liczby, która była wyrażona na worku. Ale pomiędzy rublami znalazł się duży jakiś ołowiany guzik. Zdziwieni oglądali go w koléj, gdy w tém ktoś ze służących zawołał, że to jest guzik od szpenceru kucharza. Posłano więc natychmiast po niego i kazano pokazać szpencer. Brakowało jednego guzika i łatwo było poznać

że był gwałtownie i świeżo wyrwany. Pomieszanie i przestrach kucharza uprzedziły słówne wyznanie, on był winowajcą, on zabił.

Przed kilku dniami przyszedłszy do pana O. po dyspozycję obiadu, schylił się dla podniesienia czegoś z ziemi i obaczył worek pod łóżkiem. Zła myśl skusiła go zaraz; passował się z nią jednak dni kilka, aż nareszcie uległ i zabił.

Ale jak się stało z guzikiem?

Po dokonaném morderstwie, zbójca chciał obliczyć swą zdobycz. Zamknął się więc w swojéj izdebce i liczył. Spieszył jednak jak mógł najprędzéj; a że mu było gorąco i duszno, rozpiął niecierpliwie swój szpencer, nie dojrzawszy wyrwania guzika, który razem z rublami wsypał potém do worka.

Kapłan skończywszy mszę świętą, dawał właśnie błogosławieństwo ludowi, gdy szmer wbiegających ludzi zwrócił ku nim powszechną uwagę. Podniosła się i żona aptekarza, a piérwsze słowa które usłyszała, były to słowa przełożonego klasztoru: „Ciesz się pani! mąż twój niewinny!“ zacny kapłan chciał być najpiérwszym coby jéj tę wiadomość zwiastował; mnóstwo ludzi wbiegło tuż za nim, aby jéj wrażenie zobaczyć. Zrozpaczona przed chwilą niewiasta nie mogła znieść gwałtownego wzruszenia. Łkając padła na ręce rozrzewnionego kapłana, co był dla niéj jak aniołem pociechy; chwila ubiegła nim ją ocucono, ale gdy podniosła powieki, już mąż klęczał tuż przy niéj, łzami oblewając jéj ręce. Kapłan który odprawiał mszę świętą, ukląkł na stopniach ołtarza, wszyscy obecni padli na kolana i z ust wszystkich zabrzmiał psalm znany:

„Kto się w opiekę poda Panu swemu,
A całém sercem szczerze ufa Jemu,
Smiało rzec może: mam obrońcą Boga.“

Trzebaż mówić, że gołąb sprawca tego wszystkiego co zaszło, stał się celem nietylko ciekawości, ale prawie czci wszystkich obecnych i następnie całego miasteczka i okolicy. Że był dziki, wątpliwości nie było; ale że miał wyraźnie od ognia popalone nóżki, tego nikt wytłumaczyć nie umiał. Najpodobniejszy wniosek, że musiał usiąść gdzieś w polu na przygasłém ognisku pastuszém. Ale kto tém wszystkiem kierował? Nie wiem co na to odpowie dzisiejszy uczony filozof, ale ufam, że większość czytelników téj prostéj opowieści w prostocie serca i ducha podzieli wraz z autorem wiarę i uczucie tych wszystkich, co ów psalm natenczas śpiewali.

KOBIETA NA KATEDRZE.

Nie idzie nam o effekt, ale o prawdę.
Liljana.

Nigdy nie mogłam zrozumieć dla czego większa część ludzi z taką zaciętością prześladuje naukę, rozum i pobożność? Dla czego tyle pobłażania spotykamy dla występku i podłości, a jeżeli podniesie kto głos przeciwko nim, to tak lekko, tak nieśmiało, że ogół wcale tego nie dosłyszy i tym sposobem łotr wciska się pomiędzy uczciwych, którzy przez nikogo nie ostrzeżeni, ciężko zwykle odpokutują za stosunek z nikczemnikiem.

Lecz niech to będzie człowiek głęboko uczony, kobiéta wyższych zdolności, chrześcjanin w wierze swéj gorliwy—co to za szyderstwo, jaka zawiść, jakie rozjątrzenie powszechne u sąsiadów, przyjaciół, znajomych, nawet i u krewnych... To *pedant*, wołają, to *sawantka*, to *biqot*; dzięki Bogu! że luby i piękny nasz język nie dostarczył przezwisk szyderczych dla nauki, talentu i pobożności. Ale biednego zwolennika muz nic to nie pocieszy, że zeń szydzą wyrazami z obcéj wziętemi mowy, czuje on, iż jest parjasem w tym tłumie nieprzychylnych a ciemnych współbraci; łagodnością, dobrém słowem, przysługą nie ujmie ich dla siebie, gdyż zawiść córką jest piekła, mądrość zaś darem bożym, gdzież im obojgu zbratać się lub pogodzić? Artykuł p. Liljany, *Kobiéta na katedrze*, zamieszczony w 1szym numerze dziennika Rodzina, przywiódł mi znów na myśl, te zadawnione już a gorzkie nad usposobieniem ogółu, uwagi, p. Liljana zacną jest i pełną najlepszych chęci niewiastą, a przecież głos jéj wydał mi się oddzwiękiem powszechnego uprzedzenia przeciw temu bożemu światłu, którego tak brakuje społeczeństwu, a które nabywa się tylko pilną i sumienną pracą i w języku ludzkim nazywa się mądrością.

Na co kobiecie zda się nauka? wołają zwolennicy ciemnoty. Czy to dla niéj urzęda, poważne parlamentu obrady, prelekcje z katedry. Czy dla niéj równouprawnienie takie jakie mężczyźnie się należy? Kobieta jest kapłanką domowego ogniska, jéj działem ciche szczęście domowe, skromne acz szczytne, córki, siostry i żony obowiązki; nie wolno jéj po za te wybiedz szranki, bo wtedy stanie się chciwą popisów, łaknącą poklasku, pychy i próżności pełną, jedném słowem plagą społeczeństwa.

Wszakże kto zna serce ludzkie, ten wie, że pycha i próżność najłatwiejszy do nas mają przystęp. Tak pod włościańską strzechą, jak i w pałacach spotkasz się z tą wadą. Tu ci każą chwalić zakalcowaty kołacz, Jagusi ręką upieczony, tam musisz wysłuchać mazurów Szopena odegranych nie w takt, owdzie każą ci podziwiać piękną angielszczyznę której żaden Anglik nie zrozumie, na każdym znów balu spotkasz krocie pretensji co do stroju, wdzięków, pierwszeństwa w tańcu i t. d., a to wszystko u kobiét nieuzdatnionych do wykładu na katedrze.

Spór o to, czy kobiéta w postępie mądrości i nauce może iść z mężczyzną w zawody? rozstrzygniony już oddawna. Ustna walka trwa ciągle, ale czyn dokonany od lat kilku tysięcy. Pomijam pogańskie czasy, kiedy kobieta choć jeszcze niewolnica, wybiegała nauką i talentem po za powszednią domowego życia sferę, Safony i Aspazje słyną aż po dni nasze, lecz odkąd ewangelji słowo po całym zabrzmiało świecie, odkąd niewiasta jedyną towarzyszką męża, panią domu i naczelniczką rodziny została, kiedy kościół małżeństwo chrześcijańskie do sakramentów zaliczył, odtąd kobieta do równych praw z mężczyzną jest przypuszczoną.

Obok oświaty religijnéj, chrześcijanizm zachował, dobył z zapomnienia i krzewił u nowonawróconych narodów naukę starożytnych. Nie pogardził ani Platonem ani Arystotelesem, ani innemi pogańskich wieków mędrcami, a trzymając się tego zdania pisma św.: „Wszelka mądrość jest od Pana i z Nim jest na wieki,“ nie pomiatał arcydziełami Rzymu ni Grecji, ale dawał prawo obywatelstwa wszystkiemu co piękne, zacne i wzniosłe.

Nie dziw, że w doskonalącém się społeczeństwie, kobiéta szła równo z duchem czasu. Prace jéj nie było tak głośne jak prace około nawrócenia pogan, śś. Piotra, Jakóba, Pawła i innych, ale Klotylda, Teodolinda Pulcherja, Helena, Jadwiga miljony ludzi swym wpływem wyrwały ciemnocie i błędowi. Spotykamy w zborze chrześcijan niewiasty rozległéj nauki, Paula, Eustochia, Blezylla, Marcella, Lea i inne; przez nie zachęcony św. Hieronim zaczyna tłomaczenie Wulgaty i pod ich krytykę prace swe poddaje. Wy, powiada, możecie czytać tekst hebrajski i grecki, łacniéj przeto niż inni, zdołacie wytknąć usterki mojego tłomaczenia.

Nie powtarzam tego co wszyscy już wiedzą, że w wiekach napadu Gotów, Hunnów, Herulów i t. d. w czasie krwawych wojen, a raczéj wzajemnych rzezi hord i plemion zalewających Europę, ludzie obdarzeni talentem, nauką i cnotą szukali pokoju w cieniach klasztornych murów, gdzie nauki i sztuki znalazły gościnny przytułek. Ztamtąd wyszli najznamienitsi uczeni owych czasów; nie wypisuję długiego imion ich szeregu, komuż bowiem obce takie nazwiska jak Bedy, Tomasza z Akwinu, Alberta Wielkiego, Rogera Bakona?

Ale i żeńskie klasztory nie samą brzmiały wówczas modlitwą; w teologji i piśmiennictwie, jak powiada Ozanam, od 10go już wieku kobiety czynny wzięły udział; wtedy to Helena von Ross (Roswitha) mniszka w klasztorze Gandersheim pisała pobożne dramata żeby zakonne swe siostry odstręczyć od komedji Terencjusza, o jeden zaś wiek późniéj Heloiza uczennica i żona sławnego Abelarda, przewyższyła swego męża nauką, listy zaś jéj są teraz jeszcze więcéj przez uczonych cenione niż cała dyalektyka Abelarda. Wiek piętnasty nadał nowy zwrot naukom i sztuce. Prąd który porywał umysły w wyższe umiejętności sfery, z równą potęgą parł kobiety i mężczyzn do świątyni nauk. Wtedy Włochy, ten kraj poezji, ojczyzna improwizatorów, improwizatorek, ujrzały na katedrach swych wszechnic nie tylko mężczyzn, ale i płeć nadobną. Wiele możnaby wymienić wsławionych niewieścich nazwisk, ja wspomnę tylko dwie: Lukrecję Cornaro Wenecjankę, która w połowie 17go stulecia była doktorem filozofji w Padwie i Laurę Bassi żonę Józefa Verati. Laura Bassi ozdobiona także beretem doktorskim, wykładała w Bolonji, rodzinném swém mieście fizykę doświadczalną, od 1745 do 1778, to jest aż do końca życia: słynęła przytém z cnót i dobroczynności.

Kiedy z przyczyny przeniesienia stolicy apostolskiéj do Awinionu, rozdwojenie wstrząsało chrześcijaństwem i kościołem, w małém miasteczku włoskiem Sienna, żyła światła niewiasta, najpiérwszy prozaik swego wieku. Listy jéj, oraz królewnej szwedzkiej św. Brygitty takie wrażenie wywarły na współczesnych i na Grzegorzu XI papieżu, iż odważył się zamieszkać na nowo w Rzymie, a przez to zachęcił swych następców do stanowczego zamieszkania dawnéj stolicy świata. Imię téj niewiasty, téj literackiéj znakomitości 14go stulecia jest: św. Katarzyna z Sienny.

Może mi kto zarzuci, że samych świętych wymieniam? nie moja w tém wina, iż prawdziwa, sumiennie dla dobra bliźnich podjęta nauka, tak wydoskonala umysł i serce, że aż do świętości prowadzi.

Lat temu kilkanaście i ja widziałam kobietę młodą, bo dwudziestoletnią pannę Antonję Hutorowicz, która wychowana we Włoszech, oczytana w Dantem, wykładała we Florencji *z Katedry!* Boską komedję Alighiera. Żyje ona dziś w małym zakątku gub. Wołyńskiéj, poszła za mąż i mówiono mi, że jest wzorową gospodynią, żoną i matką. Autorka bardzo wziętych we Francji a nawet w Niemczech powieści, pani Hello, pisząca pod imieniem Jana Lander, opowiadała mi, że w jakiemś miasteczku południowéj Francji, znała rodzinę składającą się z ojca, matki i dwóch córek. Ojciec

był aptekarzem, za pomocnika w laboratorium służyła mu starsza córka tak biegła w chemji, że gdy raż w mieście departamentowém toczył się proces o otrucie i najbieglejsi chemicy nie mogli dojść jaką trucizną zmarły był zgładzonym, pannie R. posłano szczątki zatrute, a ona zamknąwszy się ze swemi retortami, doszła rodzaju trucizny i rozstrzygnęła watpliwość prawników. Powiedźcie, czy téj kobiecie nie byłaby przystała katedra chemji; czy nauka straciłaby na tém, żeby ją wykładała tak znająca swój przedmiot osoba?

We Francji ten wstręt do kobiet uczonych, niknie już oddawna. Moliere bożyszcze francuzkiéj sceny, porządnie wychłostany został przez liberalny dziennik *Le Tems*, za komedję *femmes savantes*, le Bourgeois Gentilhomme i Georges Dandin. Zebrało się, mówi Schoerer, kółko zacnych i światłych kobiét, chcą one mówić nie o plotkach i dworskich intrygach, lecz o pismiennictwie i wynalazkach swego wieku (wielkiego 17go stulecia!) wnet pojawia się satyra Molierowska, les femmes savantes, i śmiesznością chłoszcze piękne usiłowania hotelu Rambouillet. Jakiś mieszczanin pragnie wyjść ze swéj kasty; sam bogacz, pojmuje zubożałą szlachciankę za żonę. Pani, prowadzeniem swojém, zamienia w piekło dom mężowski, a Moliere znów wystepuje z komedją Georges Dandin, w któréj wszystkie śmieszności są po stronie męża! „Wszystko mi jedno, powiada Gauthier: czy biała rączka niewieścia przebiega klawisze, czy też suwa piórem po cienkim welinie, z tém i z tamtém zarówno jéj ładnie.“

Dzisiejsza też Francja, nie zaprzeczając kobiétom świętych i słodkich praw do wykonywania obowiązków żony i matki, większy dała im udział w pracy łatwéj a zyskownéj. Wolno im być kasjerkami na stacjach kolei, trzymać pocztę, uczyć nawet z katedry! Wkrótce za przykładem Ameryki i Anglji, szpitale dziecinne, a może i kobiece pod ich przejdą zarząd. Widziałam w wielkich magazynach paryzkich, mnóstwo dorodnéj, w sile wieku młodzieży mezkiéj, usługującéj w zgrabnych podrygach osobom żądającym koronek, wstążek, materji i t. p., a w tychże samych sklepach siedziała przy biórku młoda zwykle kobieta utrzymująca księgi kupieckie, i pytam czytelników moich, czyja praca była trudniejszą i zyskowniejszą?

Ta kobieta buchalter, wróciwszy wieczorem do domu, gdzie siostra lub matka dogląda jéj dziatwy, a może chory ojciec lub mąż kaleka tęskno wyglądają jéj przybycia, staje się prawdziwie kapłanką domowego ogniska, gdyż jéj zarobek dostarcza opału i pożywienia liczněj nieraz, a zubożałéj rodzinie. Dział sztuk pięknych, rzeźba, malarstwo, muzyka jest dziś we Francji tak zwyczajném polem prac niewieścich, że dość przeczytać katalog, piérwszéj lepszéj wystawy powszechnéj w Paryżu, aby się o tém przekonać.

Jeżeli idzie o skromność, tę świętą cnotę niewieścią, o to, żeby kobieta, prócz w gronie rodziny, więcéj nigdzie znaną i sławną nie była, tedy kobiéty nie powinnyby myśli swych drukiem upowszechniać. Ze wszystkich bowiem katedr, najwięcéj dającą rozgłosu, jest druk. Niech najlichsze pismo tylko stu ma prenumeratorów, niezawodnie artykuły w nim zamieszczone, tysiąc osób czytać będzie. I żaden pseudonim nie osłoni twéj skromności, jest on bowiem nader przezroczystą zasłoną z pod któréj każdy rozpozna prawdziwe nazwisko a często skłonność i stan piszącego.

Nie sądźcie szanowne czytelniczki moje, abym niniejszym artykułem, zachęcała was do porzucenia właściwych nam obowiązków rodzinnych i zatrudnień domowych. O! wcale nie!... Lecz jeżeli między wami znajdzie się taka, która godziny przeznaczone na próżnowanie, plotki, stroje, lub czczą gadaninę, zechce poświęcić na pilną, a sumienną naukę—jeżeli wziąwszy się do niéj w imię boże, nie zaś dla pychy i próżnéj chwały, popracuje lat kilka lub kilkanaście gorliwie a szczerze, i przeświadczona o swéj nad ogółem wyższości, dojdzie aż na stopnie katedry, to, czy nam zechce wykładać o postępie, czy o wychowaniu dzieci, o podniesieniu gospodarstwa kobiecego wiejskiego, albo o sposobach utrzymania zgody i miłości w rodzinie; wreszcie czy o fizyce, chemji, astronomji, byle tylko znała swój przedmiot lepiéj niż drudzy, my chętnie pobiegniemy na jéj wykład i mozolną jéj pracę, serdecznym uczcimy poklaskiem, niech tylko nigdy téj przestrogi z myśli swéj nie traci, że chcąc uczyć, trzeba koniecznie coś umieć, a umieć doskonale, inaczéj bowiem nie ma zasługi dla wykładającego, ani pożytku dla słuchaczy.

Warszawa 15 Stycznia 1866 r.

Julja Janiszewska.

STROJ DAWNYCH NIEWIAST POLSKICH.

WIEK XVI.

Eleonora z książąt Ostrogskich księżna Radziwiłłowa.



(Wizerunek z dzieła Wobego)

Suknia czarna aksamitna ze sztywną u góry krézą. Na piersiach naszyte drogie klejnoty. Podobny również klejnot na złotym zawieszony sznurze. Szuba z wzorzystéj materji podbita sobolami. Na głowie czapka aksamitna złotem haftowana; włosy ujęte w siatkę naszywaną złotem i perłami.

MALOWANIE SKÓRY.

Malowanie twarzy i całéj skóry na ciele ludzkiém zwane przez francuzów *tatouage* które przedstawia rycina nasza, jest wielce poszukiwaną i niezbędną ozdobą dzikich ludów. Wykonywa się zazwyczaj przez nakłucie skóry aż do krwi, a następnie wcieranie rozmaitych farb w proszku jak n. p. czerwony cynober (*vermillon*) i t. p. Farby te wsiąkają w naczynia limfatyczne podskórne i nadają żądaną barwę przyozdobionéj w ten sposób części ciała. Kolor nadany w ten sposób pozostaje już na wieczne czasy i niezmienia się od użycia wody. Desenie zależą od upodobania rysownika i przedstawiają one niekiedy arabeski, które byłyby pełne wdzięku, gdyby zdobiły sztukę materji wełnianéj lub jedwabnéj, zamiast szpecić oblicze ludzkie. Ludy wysp australskich posuwają najwyżéj ten rodzaj sztuki, u niektórych z nich istnieje zwyczaj wyrażania w hieroglifach na całéj osobie szczególnych jego zasług lub zdolności, podobny rysunek zwany *moko* służy niejako za rodzaj herbu temu, który go posiada. Malowanie skóry w desenie kolorowe znane jest także w Europie; w dawniejszych czasach mianowicie we Francji pomiędzy klassą rzemieślniczą w modzie były napisy, cyfry, lub serca czułych kochanków narysowane na rękach

Używano ku temu nakłucia szpilką aż do krwi, potém miejsce nakłute nacierano bardzo miałkim prochem zapalanym następnie. Skutkiem wybuchu proch nie sprawiając prawie żadnego bólu, wsiąkał pod skórę i deseń w kolorze niebieskim na wieczną pozostawał pamiątkę. Czasami mieszano do prochu miałką farbę i otrzymywano w ten sposób desenie żółte, czerwone, lub czarne.



Malowanie skóry.

OŻENIENIE PANA ANTONIEGO.

Powiastka z życia.

(*Dokończenie*).

Pan Antoni niemógł się już oprzeć nagannéj ciekawości i powstrzymując oddech zatrzymał się także.

— Ale mówię ci, źle zrobiłaś Basiu, igrając z uczuciem pana Antoniego, skoro niemyślisz iść za niego, mówiła Andzia.

— Ale któż ci powiada, moja droga, że nie myślę, otóż i myślę i niemyślę; jeżeli pan Alfred się oświadczy to co innego, bo przecież odmówić bym niemogła podobnéj partji, ale jeżeli nie, to zobaczemy, jak powiada mój ojciec.

— Ależ jakże jednocześnie można im robić obu nadzieję, daruj moja droga, lecz tego nie zrozumiem nigdy i zdaje mi się, że źle postępujesz.

— Ach! jakież dziecko z ciebie, zaśmiała się Basia, co za sentymentalizm szczególny! A przecież gdybym nawet o samym tylko Alfredzie myślała, to właśnie dla tego aby go skłonić do prędszego oświadczenia, muszę się starać przypodobać drugim, niech widzi że nie on jeden... hrabina zawsze powiada, że nic więcéj nie zachęca do oświadczyn, jak widok rywala i z téj to nawet przyczyny, wyznam ci szczerze, byłam dziś tak uprzejmą dla pana

Antoniego, któren mię nudzi trochę *quoique il n'est pas mal tonrné.*

— Ależ moja jedyna, rzekła z oburzeniem Andzia, toż ty widzisz w małżeństwie rodzaj interesownéj gry tylko? biedna ty biedna! prawdziwie że nie chciałabym mieć podobnego usposobienia, nawet gdybym w zamian posiadać miała twe bogate wiano...

— Grzeczna jesteś prawdziwie! mówiła z urazą Basia, zaczynając długi perjod, którego końca nie doczekała się już ani panna Salomeja, ani pan Antoni, pośpieszywszy do salonu, żeby co prędzéj powrócić do domu.

— A co? pytała skwapliwie syna pani S., która mimo, że już było po północy, czekała powrotu Antosia w nadziei, że uslyszy pomyślną nowinę.

— Wiele nowego matko, odparł pan Antoni poważnie, podczas gdy panna Salomeja patrzała na niego wzrokiem jaśniejącym radością, a najpiérw pobłogosławić mi musisz w nowym zawodzie, który rozpocząć pragnę.

— Z całego serca błogosławiłam ci jnż dziś rano, a i teraz ponawiam, powtarzam me życzenie, cieszę się téż że i Salusia nie sprzeciwia się, jak widzę...

— O! ja pragnę tylko szczęścia Antosia i nie mogę jak pochwalać wybór który uczynił...

— A więc przyjęli cię?...

— Przyjmą niezawodnie, idzie tylko o zezwolenie twoje, droga matko, bez którego nie uczynię stanowczego kroku.

— Jakto? wszak masz je oddawna.

— Nie chodzi tu o pannę Barbarę...

— A o kogóż więc? pytała z lekkim przestrachem pani S.

— O jéj krewną Andzię, biédną sierotę, którą za żonę pojąć pragnę, rzekł stanowczo pan Antoni.

— Wszelki duch pana Boga chwali! a to co znowu?

— Nic nowego matko, dziewczę to upodobałem od piérwszéj chwili poznania, teraz zaś wyraźnie Opatrzność wskazuje mi ją za żonę, zaszła bowiem okoliczność, która zbrzydziła mi ostatecznie pannę Barbarę, opowiem wszystko późniéj... zresztą i tak dziedziczka Zagórza nie poszłaby za mnie, ma bowiem innego konkurenta.

— Ale gdyby i tak było, rzekła z boleścią pani S., to czyż ona jedna na świecie z posagiem? możnaby poszukać innéj, mówią że sędzianka ma gotowego 200,000 tysięcy...

— Pułkownikówna ma tyleż, tyleż podobno i panna Natalja, ale przecież mateczko droga przy tych pieniądzach i żonę brać trzeba i życie swe zaprzedać... czyż nie lepiéj już raz zaniechać tego kupiectwa, a pomyśleć o szczęściu domowém?...

— A Jankiel, a Szmul, a inni, cóż z niemi począć?

— Na to ja dałam radę Antosiowi, ozwała się panna Salomeja. Sprzedać część majątku panu Z. z którym rozmówiłam się już obszernie w tym przedmiocie, zostawić sobie jeden folwark i na nim pracować w pocie czoła, obok żony kochającéj i gospodarnéj, która trudy osłodzi a staraniem swém owoce pracy podwoi. Andzia posiada te dwa przymioty. Zosiu nie narażaj szczęścia własnego dziecka i nie ucz go chodzić złą drogą, skoro na prosty wstąpił gościniec!

Panna Salomeja dłużéj jeszcze mówiła w ten sens, a pani S. jak zazwyczaj lubo smutnie przychyliła się do jéj życzenia.

* * *

Niedługo potém maleńki folwarczek w którym zamieszkała szczęśliwa rodzina, stał się rajem prawdziwym, bo w nim promieniała miłość, łaska boża udzielona jedynie na tym świecie duszom wybranym. Pani S. i panna Salomeja znalazły córkę w Andzi i obie wraz z Antonim nie mogły się dość nacieszyć skarbem, jaki im się dostał w udziale. W całéj okolicy wyśmiewano ożenienie pana Antoniego, lecz z czasem gdy zwolna przy czynnéj pomocy żony, coraz lepiéj stanął w interesach, pochwalać je nawet poczęto.

Panna Barbara wyszła za pana Alfreda lecz zawiedli się na sobie oboje, bo pan Alfred nic nie posiadał; massę długów i zamiłowanie zbytku, pan N. zaś nie chciał dać posagu po córce, mówiąc że młodzi pracować powinni. Daremnie matka chcąc osłodzić los córki występowała z tém, że ją wychowała delikatnie, że praca jest jéj obcą, że ojciec sam nie sprzeciwiał się temu, aby jedynaczka całe dni nad romansem francuzkim, lub szydełkową robotą trawiła, wszystko to nic nie pomogło i dopiéro ze śmiercią pana N. dostały się państwu Alfredom pożądane kapitały. Nie wiele im z nich przyszło, bo najpiękniejsze lata młodości stracili w utyskiwaniu, krótko ich też używała Basia; zdrowie podkopane zgryzotą zachwiało się i niezadługo poszła za ojcem. Matka nie mogła przeżyć jedynaczki, a że ta potomstwa nie zostawiła, więc pan Alfred wyprawiony został z kwitkiem, majątek zaś skrzętnie zebrany, zagarnęli dalecy krewni. Państwo Antoniowie tymczasem cieszyli się liczną rodziną, wychowując dzieci w ten sposób, żeby zawsze same sobie starczyć umiały, a synowie nie budowali szczęścia i karjer na posagach żon, córki zaś na świetném zamężciu.

Z PRZESZŁOŚCI.

KOŚCIÓŁ ŚW. WOJCIECHA W KRAKOWIE.

przez Józefa Łepkowskiego.

Badanie zabytków przeszłości naszéj ma prócz celu ściśle naukowego i tę jeszcze korzyść nie małą, że obznajmiają nas z pomnikami przeszłości. Dlatego sądzimy, że dzienniki, co się szeroko po kraju rozchodzą, słusznie dla studjów nad pamiątkami krajowemi kolumny swoje otwarły, są bowiem drogą, którą upowszechniają się pomiędzy ogółem wiadomości z dziejów, a przypominają te dawne podania, które zamknięte w książkach, chłodną, martwieją lub umierają na zawsze; wznowione zaś, żyją i kwitną, rodząc ziarna, z których owoc miłości sztuki wyrasta.

Jeżeli jakie zabytki, to właśnie krakowskie tę korzyść przynoszą, dla tego różne względy nasuwają nam od czasu do czasu sposobność pomówienia o nich.

W książce naszéj *Z przeszłości szkice i obrazy*, Kraków (u D. E. Friedleina 1862), przedstawiliśmy rynek krakowski podając dzieje stojących na nim budowli (1); teraz zamierzamy dopełniać znów ten obraz, dając wiadomości o kościołku św. Wojciecha.

Wspomnienie tego kościoła będzie na czasie; jak skoro od dwóch prawie lat gorliwie się odnową jego zajęto, która obecnie jest na ukończeniu.

Stoi on w południowéj stronie rynku, w téj części, która wejście w Grodzką ulicę otwiera; a ustawił się wedle dawnych tradycji katolickich, tak, że niby doskonała igła magnesowa, wielki ołtarz na wschód, zaś główne wrota na zachód obrócił.

Zanim powiemy o budowie téj świątyńki, jéj pamiątkach i obecnéj restauracji, pierw wspomnieć przychodzi o tradycjach i datach historycznych, jakie nam z odległéj przeszłości zostały. Skąpe to będą wiadomości, bo ograniczone do wzmianek kilku, głównie na podaniach Długosza i Pruszcza opartych; z których A. Grabowski i J. Mączyński w swoich książkach o Krakowie, dzieje tego kościoła po krótce spisali.

Przeważną pamiątkową wartość nadaje temu kościołowi tradycja, iż św. Wojciech bawiąc w czasie apostolstwa w Krakowie, gdzie przez króla i lud uroczyście był przyjmowany, nauczał mówiąc po czesku kazania w rynku, gdzie dziś kościołek stoi. (Długosz w kronice pod r. 995). Miejscowe podania dodają, iż ową kaplicę wzniesiono ku czci św. Wojciecha na gruzach pierwotnéj pogańskiéj świątyni, po któréj w owych czasach widoczne jeszcze były ślady ołtarza bożyszczów i szczęty naczyń ofiarnych. Miała nadto stać wtedy przy kaplicy odwieczna sosna, pozostała z boru, co istniał niegdyś na pobrzeżu Wisły, gdzie się późniéj Kraków zabudował.

Rozważając tę tradycję krytycznie, przyjąć można jako pewnik, iż uczczenie pobytu św. Wojciecha mogło dać początek założeniu kaplicy; jak skoro był on rzeczywiście w Krakowie, za czasów Bolesława Chrobrego, w końcowych latach X wieku; wtedy gdy z Węgier powracał, a do Gniezna i Prus podążał. Ta jego droga dałaby się nawet śladami legend zaznaczyć, mamy ich bowiem wiele w jasielskiem, w sandeckiem i po wsiach niezbyt od miasta naszego odległych.

Dość przypomnieć, że w Mucharzu przechowują szczątki ornatu będącego pamiątką po bytności tam św. Wojciecha; w Stryszowie u studni jest podanie o przechodzie jego; w Bulowicach znów. Dankowicach i Łękawicy wywodzą powstanie tamtejszych kościołów i kaplic od czasów podróży św. Wojciecha. Te wsie leżą w Wadowickiém, właśnie w okolicy, w któréj drogi z Węgier i Szląska w krakowskie prowadzą. Pod samym nadto Krakowem, bo tuż obok klasztoru zwierzynieckiego, stoi kościół św. Salwatora, z którego ambony miał św. Wojciech do ludu przemawiać, o wsi nakoniec Modlnicy prawią, iż nazwa jéj poszła od modłów krakowian, kiedy żegnając się z św. biskupem, prosili dlań o pomyślność w podróży. Zresztą nie już legendy same, ale i historja potwierdza apostolską do nas pod te czasy wyprawę świętego. To także nie może ulegać wątpliwości, że wtedy gdy św. Wojciech miewał kazania na rynku krakowskim, nie istniała tam już pogańska świątynia, ale stała w jéj miejscu chrześcjańskim obrządkiem poświęcona kapliczka; ku czci zaś św. Apostoła, dopiéro po kanonizacji jego, przeznaczoną być mogła. Z owych czasów pozostało w budowli kościoła nie więcéj pewno jak same

(1) Rynek krakowski, którego cztery połacie utworzyło 43 domów, obejmuje (wedle kadastralnéj mappy Kummersberga) powierzchnią 11,000 sążni wiedeńskich. Jeźli się do tego doliczy plac otaczający kościół Maryacki wraz z powierzchnią przez tę świątynie zajętą, wtedy obszar ten wyniesie 13,200 sążni. Budowle wypełniające przestrzeń rynku jak; Sukiennice z przystawkami (1,100 sążni), wieża ratuszna (100 sążni), odwach (150 sążni), kościół maryacki (675 sążni), wreszcie kościół św. Wojciecha (50 sążni), zajmują na téj przestrzeni 2075 sążni, pozostaje więc tyle obszaru, iż na nim 100,000 ludzi pomieścić się może, stojąc jak w kościele.

podwaliny téj części, gdzie jest ołtarz wielki; mury bowiem maleńkiego prezbiturjum ani w architekturze ani w konstrukcji, nic takiego nie dochowały, coby o wzniesieniu ich w X. lub w XI. wieku świadczyło. (2)

Dalsze daty tyczące się dziejów kościoła św. Wojciecha, znajdujemy w dochowanych imionach dwóch księży, którzy nim zawiadywali, jako to: ks. Wacław w r. 1250, a Dobrosław w końcu XIIIgo stulecia. Wreszcie w piérwszéj ćwierci XIIIgo wieku, spotykamy się tutaj z religijną także tradycją opowiadającą, że święty Jacek miewał częste w tym kościołku kazania. (Pruszcz, *Klejnoty*, wydanie z r. 1647). Znów Marcin Bielski dodaje jedną jeszcze zacność téj świątyni krakowskiéj, pisząc w *Kronice świata* pod rokiem 1453, iż wtedy św. Jan Kapistran z przed kościoła św. Wojciecha do ludu przemawiał.

Ów Jan z Kapistranu należy do celnych ludzi XV stulecia. Właśnie wtedy przyjął on habit św. Franciszka, kiedy się zakon ten przez reformę św. Bernarda, w nowy (Bernardynów) przetwarzał. Rzesze ludu zbierały się, gdy Kapistran na rynkach miast różnych przemawiał. Tak skutecznie apostołował w Austrji, w Czechach, w Morawie, w Węgrzech, Słowaczyznie i u nas; gdzie w Krakowie przez dziewięć miesięcy bawił. Mówił po łacinie lub po włosku, a dopiéro tłomaczono na ojczysty język słowa jego. Musiała to być nadzwyczajna i cudowna siła wymowy, kiedy żar jéj nawet w przekładzie nie stygnął. Tysiące krakowian tłoczyło się pod kościół św. Wojciecha dla słyszenia świętego mówcy; a po każdém kazaniu płonęły na rynku stosy, na które nawrócony lud rzucał narządy gier, kości i sprosnych uciech przedmioty. Inni znów na dobrowolne poświęcając się ubóstwo i żywot zakonny, biegli po bernadyński habit, którym ów apostoł oblókł w Krakowie 130 osób... Na Stradomiu za przyczynieniem się Zbigniewa Oleśnickiego założył klasztor dla swojéj reguły.

Kazimierzowi Jagiellończykowi daje Kapistran ślub z Elżbietą, córką cesarza Alberta. Dla tych stosunków z ludem i tronami, stał się ów święty dzielną podnietą do wojny Węgrów z Turkami, co wtedy nawałą na Europę uderzyć chciały. Po wszystkiéj ziemi węgierskiéj przebiegał on czasu tego, w ślad za nim ciągnęły na nieprzyjaciela rzesze, pod znakiem krzyża wiedzione, nawet wśród bitew nie opuszczał ich Apostoł, ale mięszając się pomiędzy walczących, do zwycieztw wierny lud prowadził. Przypatrując się znakomitéj postaci Kapistrana, rzec można słusznie, że to Savanarola północny, godny równie wielkiego uwielbienia, jak to którém florenckiego mnicha włoska literatura i sztuka uczciły. Ktoby przedstawił życie i czyny Bernardyna, o którym mówimy, miałby śliczne tło do obrazu z przeszłości; bo wiek XVty jest u nas świętych i wielkich ludzi stuleciem, to *felix saeculum*.

Nakoniec ze wspomnieniami kościoła św. Wojciecha łączy się postać błogosławionego Michała, uczonego lingwisty i rzeźbiarza słynnego, oraz mechanika i zegarmistrza zarazem. Ów Michał urodzony na Wołoszczyznie roku 1570, trudnił się w Krakowie snycerstwem, pracując w zamku królewskim. Szerzące się podówczas u nas błędy religijne, trafiły do serca młodego mistrza, a wzięły mu pokój duszy z umysłu swobodą. Marniał więc Michał w walce z sobą, aż kazania w kościele św. Wojciecha przez Dominikana miewane, pogodziły go z Bogiem i z wiarą świętą, do któréj się w r. 1062 nawrócił. Wstąpił tedy do zakonu Dominikanów w Krakowie, gdzie jako laik służył w pokorze Panu, rzeźbiąc wielkie ławy w chórze tego kościoła, podziwiane dla sztuki, aż pod czasy kiedy je pożar (r. 1850) w popiół zamienił. Świątobliwy żywot owego Michała opisał Siejkowski (w Świątnicy), a obszerniéj Pruszcz (w Fortecy), dodając, iż do śmierci która przypadła 1656, upadający już ze zgrzybiałości starzec, chodził zawsze do kościoła św. Wojciecha na kazania i tam długie godziny spędzał ua modlitwie. Wizerunek świątobliwego artysty dochował się na górnych korytarzach dominikańskiego klasztoru.

Biskupi krakowscy mieli prawo nadawstwa kościoła św. Wojciecha aż po rok 1401, kiedy Piotr Wysz ustąpił patronatu akademji w celu osadzenia tutaj jednego z professorów.

W XVI wieku (1536) spierano się w Krakowie z garstką niemieckiéj ludności, chcącéj miewać w swoim języku kazania w kościele N. M. Panny, w skutku czego przeniesiono je do kościoła św. Barbary. Te wraz z bractwem literackiém (Wniebowzięcia N. M. Panny) przeważnie niemieckiém, tutaj się w końcu XVI stulecia (1533) u św. Wojciecha przyjęły; wtedy gdy kościół św. Barbary (gdzie to bractwo było) Jezuitom oddano. Z książki Muczkowskiego (Bractwa jezuickie i akad., Kraków 1845 str. 37 i 38) zdawałoby się, że bractwa Wniebowzięcia i literackie stanowiły dwa osobne stowarzyszenia religijne; tymczasem z Pruszcza *Klejnotów* wnosićby można, że bractwo literackie przybierało tylko różne opiekuńcze tytuły, np. Wniebowzięcia, św. Barbary, św. Jana Nepomucena, etc. Ten ostatni tytuł uzyskało nawet przy kościele św. Wojciecha, za potwierdzeniem Benedykta XIII. Jakkolwiek rozumieć należy tę małoznaczącą wątpliwość, to przecież pewném pozostanie, że przez lat kilkadziesiąt w końcu XVI stulecia, a w piérwszéj połowie XVII wieku, niemieccy mieszczanie Krakowa w tym maleńkim kościołku nabożeństwa odbywali. W następstwie czasu, w miarę jak polski żywioł przemagał w bractwie, przy tym kościele będącém,

(2) Obecnie t. j. w r. 1865 w Maju, po odsłonięciu zewnętrznego tynku presbiterjum, okazało się, że jest zbudowane starożytnym sposobem: z kamienia, w sześcienne kostki obrabiane.

zmieniał się też i kierunek pobożnéj hojności zwróconéj wtedy więcéj ku uczczeniu ojczystego patrona. I tak, kiedy nabożny niemiec jakiś widywał światło cudowne bijące z krucyfiksu Chrystusa Pana, wtedy ukrzyżowanie to przeniesiono z nad tęczy kościelnéj do zbudowanego ołtarza św. Onufrego, a obwieszając je bogatemi wotami, główne przy nim odprawiano nabożeństwo. To znów gdy przemogła polska modląca się ludność, wtedy obraz św. Wojciecha zfundowano do wielkiego ołtaoza; a potem znów zyskując relikwje ojczystych świętych, mnóstwo mszy św: tutaj zamawiano. Tylko też hojnością pobożnych utrzymywał się kościół ubogi. Kapituła oddała go akademji, a ta chętnie widać od ciężarów prawa nadawstwa uchylić się chciała, kiedy za dni oto naszych nie można się było doszukać, do kogo restauracja niszczącéj się świątyni należećby winna? Po długich pisaniach i kancelaryjnych wyrobach skończyło się na tém, że oto znów pobożność z jałmużny kościołek odnawia.

Tradycje jakiemi połączyła się świątynia nasza z miastem i właściwą jego ludnością, nie pozwalały na upadek kościoła, nawet wtenczas, gdy się tam głównie niemcy na kazania w ich języku schodzili. W roku bowiem 16I1 Walenty Fontani doktór medycyny, professor i rektor akademji, nauczyciel słynnego matematyka Brosciusza, podniósł mury dawnéj kaplicy, dobuduwując do niéj zakrystję, a szczególnie wyprowadzając z fundamentów czworoboczną nawę kopułą nakrytą; tak, że odtąd kapliczka tworzyć zaczęła prezbiterjum nowego kościoła. Kopułę zakończyła latarnia, a na ostrym daszku prezbiterjum wzniosła się nieco późniéj wieżyczka. Wszystko w stylu renesans, który w rokoko zmieniły ornamenta dodane w późniejszych czasach (szczególnie wewnątrz). Rokoko tedy pozostało głównym charakterem budowy całéj, a z wcześniejszych nad wiek XVII czasów, ledwie może kawałki muru w części małego prezbiterjum zostały.

Fontaniemu dopomagał do budowy ksiądz Sebastjan Mirosz, ówczesny prebendarz kościołka. Skończono ją prawie wtedy, gdy zacny i uczony akademik umarł (1618). Sam on pochowany w grobie pod posadzką nawy przez niego wzniesionéj. Grób jego zaznaczony nadpisem, jest pod ołtarzem gdzie dziś umieszczono obraz św. Wojciecha (na desce z tłem złoconém) w roku 1630 malowany. Starożytność tego obrazu, podobało się śp. Mączyńskiemu, odnosić do XV stulecia. Nagrobek wmurowany w lewą ścianę nawy, opowiada, iż go położyli egzekutorowie testamentu ku pamięci owego Walentego Fontaniego (urodzonego 1536, a zmarłego 1618 r.), oraz dla syna jego Florjana także akademika krakowskiego (zmarłego 1636) i córki Zofji zamężnéj Jagowiczowéj (zmarłéj 1639 r.) Zapewne w owym grobie cała rodzina Fontanich spoczywa.

W wieku XVII i w następném stuleciu, pobożność starała się o ciągłe ubogacanie skarbca kościoła św. Wojciecha w świętych relikwje. Wiele ich dotąd pozostało, jak Krzyża św. i śś. Wojciecha, Stanisława biskupa i Kostki, Jana Kantego, Kunegundy, Kadłubka, Onufrego, Kolumby, Kajetana, Elżbiety, Sebastjana, Błażeja, Feliksa, Apolonji, Wiktorji, Tekli i innych jeszcze. Uzyskano też późniéj (1729 r.) dla tego kośsioła relikwje św. Jana Nepomucena.

W r. 1759 odnawiano znów kościół, a wtedy Andrzej Radwański ściany i kopułę malował. Wreszcie w r. 1778 przybudowano do kościoła od strony południowéj kaplicę znacznéj (stosunkowo do niego) wielkości, która (jak świadczy umieszczony na zewnątrz napis) poświęconą była czci św. Jana Nepomucena, dobréj sławy patrona.

Tak tedy z dawnéj kapliczki, z nawy i zakrystji w XVII dobudowanych wieku, oraz z kaplicy w XVIII powstałéj stuleciu, złożył się cały nasz kościolek, ledwie 150 ludzi pomieścić mogący. Stulecie XVI zostawiło tutaj krucyfiks w ołtarzu św. Onufrego, obraz św. Wojciecha dochował się z początku XVII wieku; zaś ozdoby wewnętrzne z XVIII datują się stulecia; wreszcie relikwjarze srebrne (św. Wojciecha i św. Tekli) z tychże pochodzą czasów. Nakoniec do zabytków zeszłego stulecia liczy się pacyfikał z kościami św. Jana Nepomucena, w oprawie, która herb Krakowa przedstawia.

Jak do tych niedawnych murów, stare przyrosły tradycje, tak też i między pamiątkami skarbca tego kościoła (z nowszych pochodzącemi czasów) znajduje się cenny archeologiczną wartością pacyfikał z drzewem krzyża św. Tylko sam Mączyński i to jedném słowem, wspomniał o nim (*Kraków dawny* str. 11); a dopiéro po raz pierwszy zastanowiono się nad tą starożytnością wtedy, gdy rysunek zdjęty z tego zabytku, oglądano i oceniano na posiedzeniu oddziału archeologicznego towarzystwa naukowego krakowskiego. (Patrz *Czas* z r. 1857 nr. 270). Krzyż ten z okładem 1 łokieć wied. i 1 ćwierć wysoki; zaś półłokcia wynosi szerokość poprzecznego ramienia jego. Tak ramiona jak i góra, również spód (gdzie krzyż łączy się z podstawą w któréj osadzony), zakończone są troistym łukiem, w tym kształcie, jaki zwykle liściem koniczyny zowią (*arc trilobé, trefoil*). W owych kończynach widzimy u góry Boga Ojca, z unoszącą się pod nim postacią Ducha św., z prawéj św. Jana, z lewéj N. M. Pannę, w pośrodkn Chrystus Pan rozpięty na krzyżu; od dołu zaś Marja Magdalena spód krzyża obejmuje. Ze strony odwrotnéj w pośrodku szkło do widzenia będących za niem relikwji, zaś po końcach ramion emblemata czterech ewangelistów.

Krzyż jest srebrny, pozłacany; na środko-

wéj części ramion jego widać szczęty emaljowania szafirowego, wymienione zaś wyobrażenia są ryte. Środek, to jest część przeznaczona do ujęcia ręką pacyfikału w czasie użycia, oraz spód albo do innego krzyża należą, albo téż do tego dorobione zostały w wieku XVII, w stylu rokoko. Opisany bowiem krzyż jest zabytkiem z XV stulecia; z czasu przechodu stylu ostro-łukowego w epokę renesansu. Ten charakter wskazują ryte na nim postacie, oraz liściaste ornamenta grawerowane lub czepiane na zejściu się poprzedniém ramion obu.

Sądzę, że krzyż ten nie był pierwotnie na postumencie umieszczony, ale służył do procesjonalnego noszenia (*crux processionalis*); bo jest taki sam jak np. ów zwany apostolskim, którym kapituły witały królów węgierskich. Są tego rodzaju zabytki w skarbcu (kościoła św. Jana w Ljonie, w Dijon (w d'Ahetze pod Pyreneami) w Eslingen, w kościele jezuickim w Kolonji, w katedrze tamtejszéj i w Granie. Te węgierskie Fr. Bock i Reissenberger przedstawili szczegółowo w drzeworytach i opisali, (*Mittheilungen der centr. Commis.* Wien. 147); do tych więc badań odsyłam tych, coby rzecz bliżéj studjować pragnęli.

Uzupełniając podane przez nas wiadomości o kościele św. Wojciecha, nadmienić nam jeszcze wypada o św. Janie Nepomucenie, który w mieście Krakowie z dawna szczególnie był czczony; ta bowiem część łączy się z świątynią o której piszemy.

Mimo że proces kanonizacji św. Jana Nepomucena, patrona Czech, rozpoczętym był dopiéro w 282 lat (r. 1675) po spełnioném na nim przez Wacława IV męczeństwie (r. 1393), a skończonym bullą wydaną d. 19 marca 1729 r., przecież są dowody, iż święty ten czczonym był już od chwili, gdy w falach Mołdawy utonął. Dowody owe poparte zabytkami pędzla i dłuta dotąd zachowanemi, nie sięgają w Czechach po rok 1532; kiedy przeciwnie w Polsce dawniejsze są ślady nabożeństwa do tego szczególnie miłowanego świętego. Gdzież u nas most, staw, lub jezioro gdzieby nie było statui pięcioma gwiazdami uwieńczonego kanonika pragskiego? Posągi te powszechnie nad wodami, a w Wielkopolsce na rynkach i cmentarzach stawiane, sięgają datami swojemi czasów o wiele wcześniejszych od roku 1729, kiedy Rzym wydał wyrok przyznający Janowi z Nepomuk cześć kościelną. W Krakowie np. na Piasku stoi przy mostku na Rudawie figura Nepomucena, z napisem świadczącym, iż istniała tam już przed 1523 rokiem, a w 1815 odnowiono ją na pamiątkę utworzenia rzeczypospolitéj krakowskiéj; w Wilnie także w okolicy kościoła św. Rafała (gdzie dziś stoi słup z cudowną figurą Chrystusa Pana), był przed rokiem 1719 starożytny posąg św. Jana Nepomucena.

Gdyby u nas zeszły badania archeologiczne aż do téj pilnéj drobiazgowości jak u niemców i francuzów, którzy dawno już figury przydrożne w inwentarze zabytków swoich włączyli; wtedy wykazaćbyśmy mogli, że w XV i XVI stuleciu postać św. Jana z Nepomuk zastępować zaczęła w Polsce posągi św. Jana Chrzciciela, stawiane przedtém nad wodami; a po odbytéj w Pradze głośnéj z przepychu kanonizacji, stało się u nas (w XVIII wieku) powszechném uwielbienie czeskiego patrona. Przypadał święty ten do smaku narodowi, bo był stróżem honoru a opiekunem dobréj sławy. Na szablach nawet dawano napisy z wezwaniem pomocy jego. Epigraf taki widzieliśmy na karabeli wyryty o dwieście prawie lat wcześniéj, niż Rzym wyrok kanonizacji czeskiego patrona ogłosił.

Był on następny:

Janie Nepomucenie, ty patronie święty!
Brońże mego honoru, by mi nie był wzięty. 1540 r.

Wtedy więc już gdy w r. 1721 cesarz Karol VI obsyłać począł stolicę apostolską prośbami, aby o św. Janie Nepomucenie mszę św. w krajach berłu jego podległych odprawiane być mogły i od nas szły do Rzymu listy popierające to życzenie dla Polski.

Czytamy je w *Memoriale* wydaném w Rzymie w r. 1723. Upominali się o tę cześć: król August II, nuncjusz Arcivesco, arcybiskup gnieźnieński, biskupi polscy wszyscy prawie, wojewoda krakowski, akademja i rajcy Krakowa, którzy prosząc o uznanie św. Jana Nepomucena za patrona miasta, przyrzekali, że bractwo literackie urządzi na ołtarz dla niego osobną kaplicę przy kościele św. Wojciecha. Gdy tedy prośbom zadosyć się stało (1729 r.) ołtarze i kaplice po całéj dawnéj Polsce, dla św. Jana Nepomucena wznosić zaczęto; czyniąc starania o posiadanie relikwji tego czeskiego a wtenczas już i polskiego patrona.

Bractwo literackie otrzymało wtedy relikwje dla kościoła św. Wojciecha. Z taką zaś uroczystością przyjmowano święte szczątki w murach naszego miasta, że magistrat krakowski z lamentem pisał do Branickiego jenerała artylerji, aby choć dwudziestu czterech dział użyczył na bicie salw w dzień festynu tego. (A. Grab. *Dawne zabytki* str. 123).

Budowę kaplicy przypartéj do południowéj ściany kościoła św. Wojciecha, rozpoczęto w r. 1778 z przeznaczeniem jéj ku czci św. Jana Nepomucena. Mimo że o téj dacie i dedykacji świadczy umieszczony na niéj napis, przecież dowiadujemy się z dokumentu będącego dawniéj w gałce wieżowéj tego kościoła, że w pomienionym roku wzniesiono tylko mury kosztem Potockiego wojewody Bełzkiego; zaś dopiéro we trzy lata potém, kaplica ostatecznie wykończoną została, staraniem i nakładem Franciszka Dzianottego, ks. Macieja Pstronkońskiego i krakowskich rodzin: Laśkiewiszów, Wolfów, Kubeckich, Kirchmajerów, Kremerów, oraz datkami innych wielu. Pod ów czas (1781 r.) restaurowano także kościół

cały, a kaplicę już wtedy poświęcono czci błogosławionego Kadłubka. (3)

Tak nieraz świeckie pobudki, czasem chłód religijny, a wielokroć sama nawet żarliwość ku nowym promieniom łaski Bożéj zwrócona, przyćmiewają cześć jednych świętych a do innych nabożeństwa zwiększają; więc i z uwielbianiem św. Jana Nepomucena podobnie się w Krakowie stało, jak z pragnieniem przenie sienia uroczystości św. Stanisława (z okazji nadanéj konstytucji) na dzień 3 maja, a uznaniem w r. 1715 św. Józefa za patrona miasta. O jedném i drugiém zapomniano. Opustoszała także kaplica św. Jana Nepomuceua, przy kościele św. Wojciecha; a gdy statua tego świętego jest w nawie kościoła, w tém oratorjum stoi teraz nieuposażony ołtarz błogosławionego Kadłubka. To opustoszenie stało się przypadkowo pod te czasy, gdy w Czechach świat uczony wątpić nawet zaczął czy żył kiedy św. Nepomucen; a rozumiano że cześć jego Jana Hussa się tyczyła, zastawiano się wtedy kancjonałem lutomirzyckim z XV wieku, gdzie przytaczano jako dowód *Missam sancti Hussi!!* W namiętnych sporach silono się na wykazanie istnienia wielu innych Janów z Pomuk i Nepomuk, Nie pominięto w tych badaniach najrozmaitszych sprzecznych sobie cytat i dowodów, o uważném jednak przeczytaniu procesu kanonizacyjnego, zapomniano zupełnie. Dla tego duchownym czeskim łatwo przyszło wygrać walkę, któréj Antoni Frind książką swoją (*der geschichtliche Nepomuk*) w Chebie (*Eger*) J851 r. wydaną, zwycięztwo nawet na drodze krytyki literackiéj zapewuił.

Dziwna, że ci co protcstują przeciw kościołowi, tak zapalczywie zgasić mu pragnęli jednę świetną gwiazdę, aby ją dla Hussa zapalić! Zagadkowem byłoby usiłowanie takie, żeby nie pewnik, iż zaprzeczenie religijne, odrzucając uznane o świętości tradycje i dowody, szuka przecież zawsze tych samych powag i tradycji, aby je zyskać dla siebie. Zdawałoby się zbyteczném poszukiwanie i śledzenie takie, gdy zważymy, że ci co wszystkimi świętymi gardzą, nie powinniby znajdować dla swéj nauki pożytku w okazywaniu, że ten lub ów uwielbiony, mniéj świętym im się wydaje. Przecież w naturze ludzkiéj leży, że kłamstwo lub urojenie, równie jak prawda i pewność, podań i powag szukają dla siebie. W czasach niewiary kościół wytrzymuje zawsze walkę z tym analitycznym kierunkiem zaprzeczenia, zwróconym ku ustawom i tradycjom jego, gdy znów pobożność zwycięża, Piotrowa skała wynurza się z powodzi obłędów, a wtedy nawet geologowie godzą się z Mojżeszowém o stworzeniu podaniem.

(3) Z przywiedzionego dokumentu, (który nam pan senator K. Hoszowski udzielil), dowiadujemy się także, że w r. 1664 zdobiono wnętrze kościoła, oraz wzniesiono wieżyczkę, którą budował cieśla Kazimierz Brozina.

Wracając do rzeczy, nie balibyśmy się o cześć św. Jana Nepomucena, choćby gc był Frind nie obronił. Trwać ona będzie pokąd katolików w Czechach starczy; u nas zaś mimo że nikt świętości pragskiemu kanonikowi nie przeczył, opustoszała kaplica jego, nie z innéj zapewne jak tylko z téj prostéj przyczyny, że nam ją przeszłość bez funduszów oddała.

Z dzisiejszym stanem téj kaplicy wiążą się myśli o odnowie kościoła i funduszach na nią. O téj to restauracji jeszcze wspomnieć chcemy.

Głównie zły stan dachu, a ztąd zacieki zwróciły uwagę Krakowian na zagrażającą ruinę kościoła. Ojczyste wspomnienia jakie się wiążą do téj świątyni, złączone z uczuciem religijném zachowauia jéj od upadku, ułatwiły utworzenie się w r. 1862 komitetu odnowy, a zarazem wzbudziły do ofiar pobożnych. Komitet ten (4) zebrał ze składek (jak to obwieszczono na początku roku 1863) 4724 złr. w. a. 46 krajc., co użyto na pokrycie wszystkiego dachu ołowiem i dokonanie konserwacyjnéj restauracji budowli całéj. Wydatki te przeniosły summę zebranych ofiar, pozostawiwszy dług ciążący na wpływach dalszych.

Miło zaiste widzieć, że u nas nie przebiera się nigdy ofiar, gdy o nie w imię wiary i tradycji wołają; przecież tutaj może obszerniejsza i donośniejsza na zebranie potrzebnych funduszów być mogła pobudka. Przed dwoma laty tradycje kościoła św. Wojciecha czepiają się pierwszych chwil wprowadzenia u nas Wiary chrześcijańskiéj, zda się bowiem, że nieledwie z téj świątyni na Polskę hymn Bogarodzicy wypłynął. Więc sama się nasuwała sposobność aby pobudkę dla ofiar i odnowy wskazać i kościół wyrestaurować w myśli umieszczenia w nim wszystkich patronów, któremi się Polska przez dziesięć wieków Bogu i kościołowi zasłużyła. Styl odrodzenia (*renaissance*) nadałby się do odnowy budowli całéj; a pusta teraz kaplica poświęcona dawniéj św. Janowi Nepomucenowi, a dziś mająca ołtarz Bł. Kadłubka stacby się mogła tym, polskich świętych, przybytkiem. Posążki patronów naszych stanęłyby na czternastu występujących z dachu podstawach, które teraz służą za piedestały pod wazony aniołków i statuę św. Jana Nepomucena. Wnętrze kaplicy o któréj mówimy, okryliby malarze nasi scenami z żywotów tych świętych pańskich.— Może... bo to osobiste tylko zdanie nasze, które

(4) Komitet składają osoby następujące: XX. Juljan Złowodzki, Albin Dunajewski i obecny prebendarz X. Makary Baniakowski; nadto świeccy: pp. Piotr Bartynowski, Jan Szteczkowski, Józef Bartl Bernowski, Ludwik Heelzel, Edward Rembowski, Jan Kaczmarski, Walery Wielogłowski (*) i Antoni Wojczyński. Ten ostatni zaproszonym został do najbliższego dozoru nad restauracją prowadzoną przez budowniczego p. Pawła Barańskiego. Wreszcie później przybrano do grona komitetu pp. Aleksandra Szukiewicza i Adama Krywulta.

(*) Dziś już nie żyjący. (*Przyp. Redak.*)

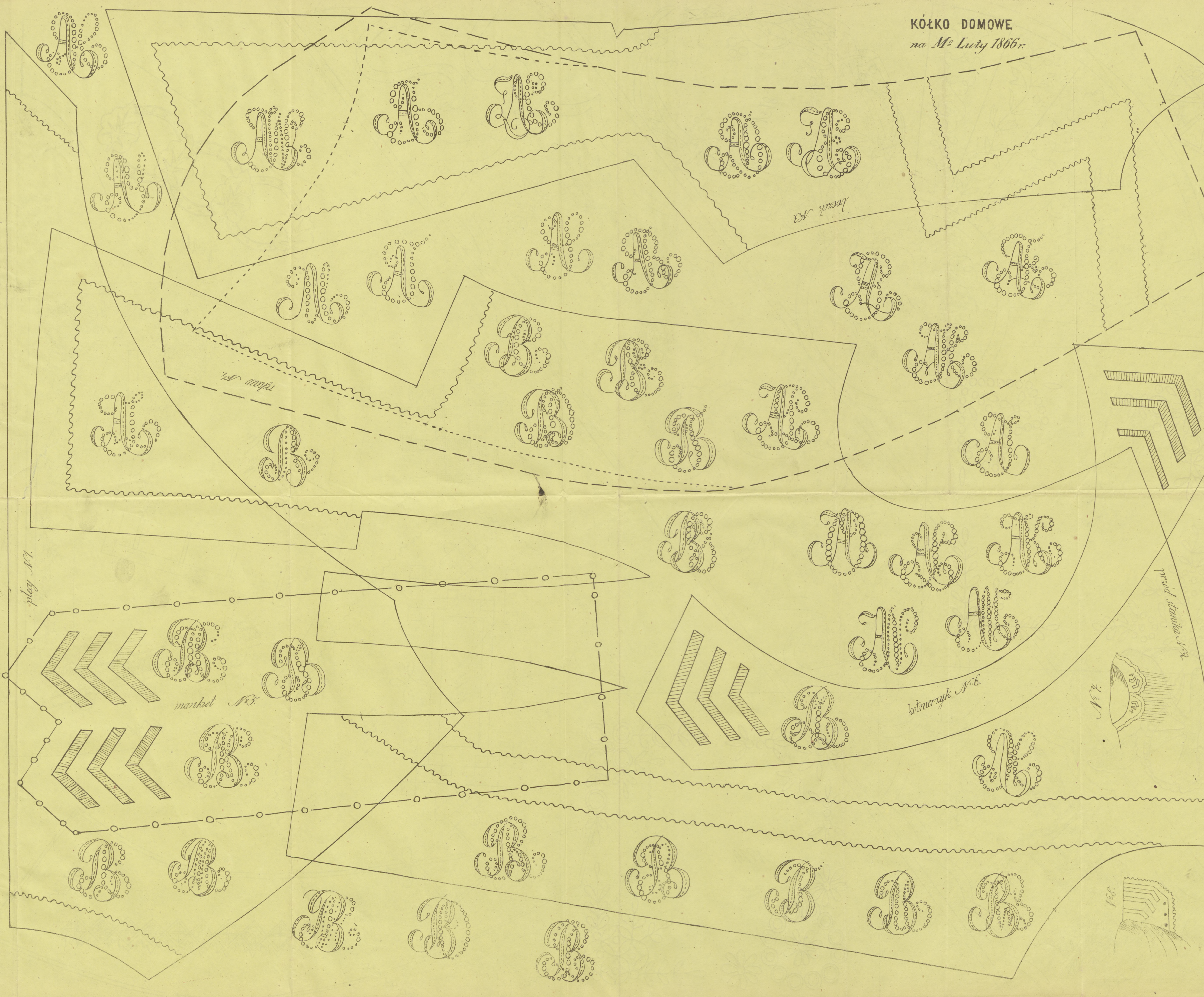
dziś chyba szczęśliwszym czasom zostawić wypada.

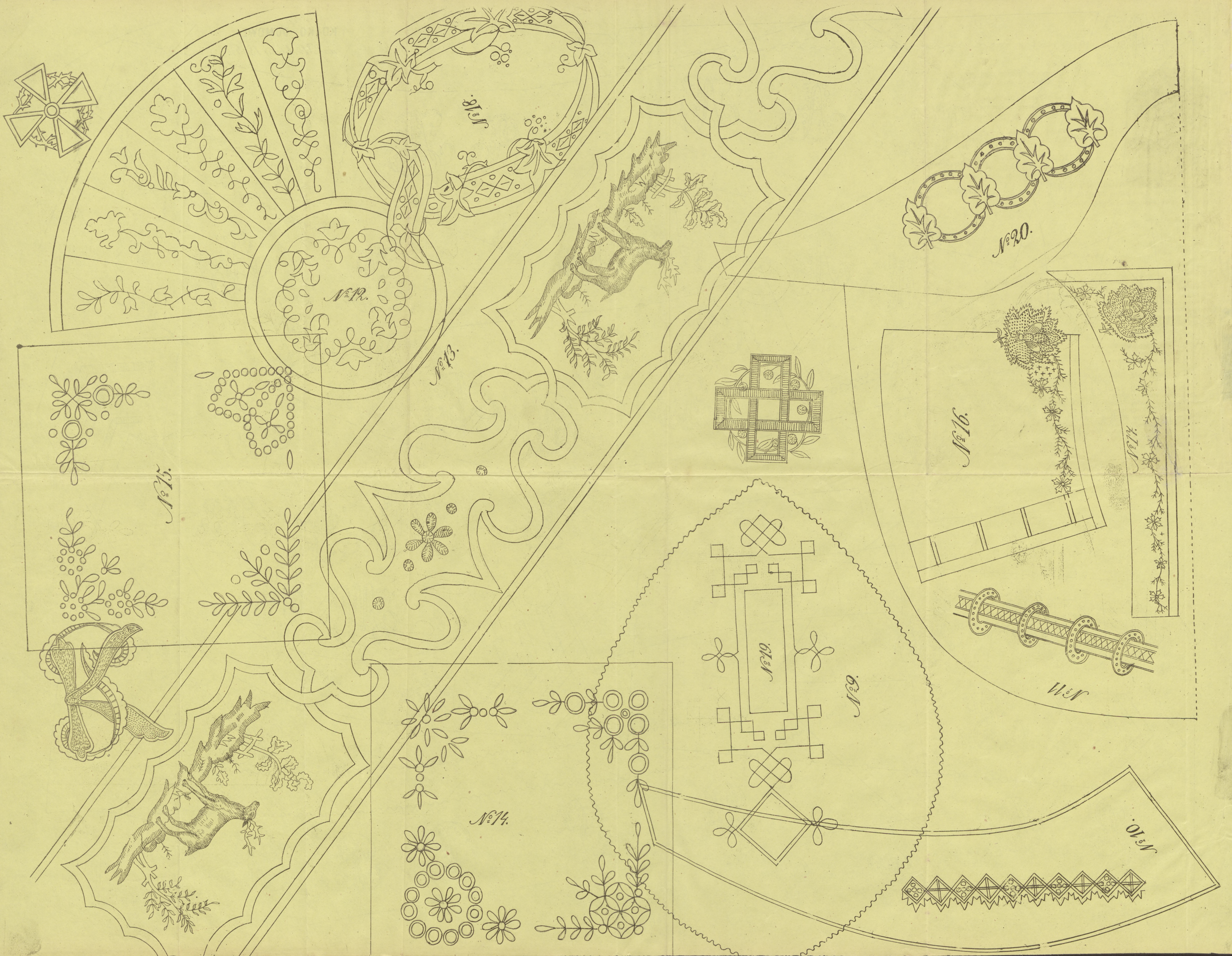
Mamy drugi projekt jeszcze. Oto sądzimy, iż mimo okoliczności obecnych, nieprzyjaznych dla restauracji uskutecznianych ze składkowych funduszów, da się ukończyć odnowa kościoła św. Wojciecha, jak skoro ją z ufnością w religijne uczucia rozpoczęto; przecież nasuwa się zaraz pytanie, jakiemi środkami utrzymać będzie można nadal tę budowlę i uprzedzać nową jéj ruinę? Wynalezienie przeznaczenia dla pustéj kaplicy św. Jana Nepomucena, usunie zdaniem naszém i tę o przyszłość budowli całéj obawę. Kaplica ta jest dostawioną tylko do kościoła, a nie tworzy z nim jednolitéj całości; mimo bowiem wejścia do niéj z wnętrza świątyni, ma drugie właściwe wrota główne, wychodzące wprost na rynek. Użyć więc jéj można w celu zarazem miastu pożytecznym i stanowiącym fundusz kościołowi potrzebny. Mamy na celu utworzenie tutaj kaplicy pogrzebowéj, właściwéj obyczajom katolickim, a w Warszawie i gdzieindziéj oddawna przy wielu urządzonéj kościołach. Przepisy władz tak duchownych jako i świeckich, nie zdają się przeciwiać projektowi który tu podamy. Ostatecznie bowiem, jak skoro każdy umarły (względem którego nie zachodzi obawa, iżby się miał stać powodem rozszerzenia zarazy), może być wystawionym w mieszkaniu, odwiedzanym i w celu odprawienia nad nim obrządków religijnych do kościoła wniesionym; niema tedy obawy aby przepisy zabraniać miały urządzenia w kaplicy o któréj mówimy, katafalku do wystawiania zwłok na czas przedpogrzebowy. Tutaj wreszcie zyskuje się dogodność ku temu celowi miejsca odosobnionego zewsząd; gdy w domach nieraz zbyt ciasnych i przepełnionych mieszkańcami, żywi z umarłymi dniem i nocą pozostać bywają zmuszeni. Ta okoliczność stała się zapewne przyczyną rozpowszechnienia w Warszawie stawiania zwłok w otwartych trumnach, w pogrzebowych przy kościołach kaplicach; w Paryżu zaś w dolnych sieniach domów wystawiają zwykle umarłych. U nas tedy pusta kaplica przy kościele św. Wojciecha, położona w środku miasta, odpowiadałaby zupełnie wskazanemu celowi, przedstawiałaby nadto tę jeszcze dogodność, iż msze św. bez osobnego zezwolenia konsystorza, przy umarłym odbywaćby się mogły, a urządzenie katafalku stosunkowo nadzwyczaj małoby kosztowało. Z funduszów bowiem teraźniejszéj restauracji wystawiony ołtarz i sprawione całuny, sowity na utrzymanie budowli kościoła przynosiłyby dochód, chociażby tylko kilka florenów płacono za 48 godzinne wystawienie zwłok. Nadto msze św. egzekwie i nabożeństwa żałobne, stałyby się z jednéj strony pomnożeniem teraźniejszego ubogiego uposażenia prebendarza; z drugiéj pobożną pamiątką skonów, bliżéj a rzewnie spoiłyby mieszkańców Krakowa z opuszczonym kościołem. Do parafji miasta naszego (licząc je tylko w obrębie rogatek) należy około 40,000 dusz katolickich, że zaś śmiertelność wynosi dziennie w przeciągu 4 do 5 zmarłych, na powszechnym chowanych cmentarzu; więc choćby z téj liczby czwartą tylko część wystawiano w projektowanéj pogrzebowéj kaplicy, a dochodu z każdego 3 floreny przypadło, ogólny wtedy wpływ mógłby przenosić rocznie summę 1200 złr.

Roztrząsający przedmiot zarzucali niepraktyczność pomysłu, szczególnie z tych przyczyn, iż umarłego zatrzymuje wśród rodziny przedewszystkiem miłość krewnych, którym trudno rozstać się z ukochanym, a jak najdłużéj patrzećby nań pragnęli; więc wynoszenie wczesne zwłok z domu, trudno aby w zwyczaj wejść zdołało, zaś w razie upowszechnienia się znów takiéj nowości, dochody kościołów parafjalnych cierpiałyby na tém. Na zarzut piérwszy obpowiadam uwagą, iż nie mniemam aby projektowany obyczaj miał stać się powszechnym; ani też sami tacy umierają, co ich najgorętsza miłość otacza, lub też wszyscy grzebiący swoich, dostatecznym na pogrzeb rozrządzają funduszem. Zaś co się dochodów parafji tyczy, to nie ucierpiałyby wiele, jak skoro podana tutaj myśl nie jest propagandą skromności i oszczędności w pogrzebach, ani też projektowana kaplica na pobudki pobożnéj hojności wpłynąć może. Wystawi zresztą w niéj umarłego na katafalku nie jeden taki, co trumnę z drogiemi zwłokami ledwo na dwóch stołkach wspiera. To przecież pewna, że choćbyśmy nawet przepołowili obliczony w przypuszczeniu dochód, zawsze około 600 złr. zyskaćby się mogło na utrzymanie kościoła św. Wojciecha, z przeznaczenia na wskazany cel kaplicy dziś pustką stojącéj. Żadna szkoda moralna ani materjalna, przewidzianą tu być nie może; a bliższe i rozważne zastanowienie się, wykaże wiele tak sercowych jak i rozumowych powodów, które za przyjęciem projektu przemawiają, polecamy go więc ogólnemu poparciu i przedstawieniu gdzie należy; dodając, że zawiadowca restauracji kościoła św. Wojciecha, zajmował się już podobno gorliwie przeprowadzeniem téj myśli. Myśl ta zresztą u nas nie dopiéro jest poruszoną. Raczéj użycie ku temu celowi kaplicy przy kościele św. Wojciecha, podsuwamy tylko do projektów dawniéj w téj sprawie czynionych. Rozważano to już w r. 1851 we wstępnym artykule *Czasu* (Nr. 205), domagając się usunięcia zwyczaju wystawienia zwłok w domach, a urządzenia osobnych sal na składanie umarłych. Przypomniano wtedy, że już senat i sejm byłéj rzeczy-pospolitéj krakowskiéj zatwierdził w r. 1844 zrobione w tym celu plany i kosztorysy; a nawet fundusze na to wyznaczył.

Kraków d 17 Maja 1865 r.

KÓŁKO DOMOWE
na Mc Luty 1866 r.




№ 12.
№ 18.
№ 13.
№ 20.
№ 15.
№ 16.
№ 17.
№ 19.
№ 9.
№ 11.
№ 14.
№ 10.